LOKALNIE · OPINIA

CZTERY PRAWICE ALBO CZWARTA KADENCJA TUSKA

Konrad Bonisławski · 2 października 2026

Prawicowa opozycja jest coraz bardziej podzielona, a jej nadzieje na odbicie sondażowe nie znajdują póki co podstaw w rzeczywistości.

Niedawne głosowanie nad niespecjalnie znaczącą funkcją wicemarszałka sejmu, w którym Marcin Horała, reprezentujący dużo mniejszy klub parlamentarny, wygrał z niedawnym kolegą z drugiego co do wielkości klubu w sejmie, było już kolejnym pogwałceniem parlamentarnych obyczajów, co oczywiście już mało kogo porusza. Większość dostrzegła za to w tym przejaw geniuszu Tuska, który – sądząc po nerwowych wyzwiskach po wyborze – skutecznie skłócił prawicową opozycję. To tylko mały teaser przed tym, co czeka nas przez najbliższe miesiące, a co tak dobrze znamy z nieodległej przeszłości.

Zamiast nakręcać się atmosferą płynącą z wieszczących niechybne załamanie obecnej koalicji po najbliższych wyborach, warto przywołać analogiczny okres pierwszej kadencji rządów pod przewodnictwem Platformy Obywatelskiej. W latach 2007-2010 wydawało się, że jest ona na dobrej drodze, aby stać się pierwszą polską partią klasową – partią klasy średniej. Jak wiadomo, do tej klasy każdy aspiruje, a że ludzie głosują raczej zgodnie ze swoim aspiracjami niż interesem klasowym, wydawało się, iż PO ma zapewnioną hegemonię na lata. Szczególnie właśnie w grupie bardziej wpływowej w społeczeństwie, obejmującej dziennikarzy, przedsiębiorców czy urzędników, niedoceniane w zakresie ich wpływu na rzeczywistość grupy zawodowe. Echa tamtych czasów można wyczuć chociażby w projekcie reformy podatkowej Koalicji Obywatelskiej, która, choć neutralna fiskalnie, uprzywilejowuje wyższą klasę średnią, pracującą na etacie.

Nie wiemy, jak długo mógłby trwać taki neoliberalny błogostan ciepłej wody w kranie, gdyby nie wypadek smoleński w kwietniu 2010 roku, po którym Polska na chwilę stała się innym krajem, a Polacy innym społeczeństwem, co wpłynęło na zmiany na scenie politycznej.

Co będzie wyznaczało linię polaryzacji?

Pomimo nawet rosnących na tej fali notowań PiS-u, Donaldowi Tuskowi udało się narzucić na chwilę nową narrację, opierającą się m.in. na wojnie z kibicami (i powiązaniu ich z PiS-em) oraz depolityzacji przekazu. Próbowano narzucić wyborcom wrażenie, iż Platforma Obywatelska dobrze administruje państwem, a z wydatną pomocą unijnych funduszy udało jej się uchronić Polskę przed skutkami globalnego kryzysu finansowego. Polska klasa polityczna przyzwyczaiła rozleniwione również tą propagandą społeczeństwo, iż jedyny model rozwoju państwa wiedzie przez środki unijne.

Z dość podobną propagandą mieliśmy do czynienia również przed wyborami w 2023 roku. PO skutecznie i wiarygodnie przekonała wielu Polaków, iż Komisja Europejska sprzyja jej w tzw. sporach o praworządność oraz iż odblokuje należne Polsce środki z KPO.

> Nawet jeżeli uważamy, że polskie społeczeństwo nie jest już tak zakompleksione wobec Zachodu jak kilkanaście lat temu, podobna retoryka może wrócić już niedługo. Przeciągający się spór m.in. o Trybunał Konstytucyjny oraz wiszące ciągle nad nami widmo uruchomienia procedury nadmiernego deficytu może zostać na nowo i niestety znowu wiarygodnie wykorzystana przez tych, którzy uważają, że w nieuniknionych przecież sporach z instytucjami unijnymi te ostatnie mają zawsze rację.

Czy wszyscy są za tym, by Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej?

Kolejnym złudzeniem, w jakie łatwo popaść, to przeświadczenie, iż konsensusem pośród całej sceny politycznej jest projekt rozwojowy. To dużo bardziej skomplikowane. Po pierwsze, gdyby dopytać wyborców na przykład o to, do jakich poświęceń byliby skłonni, aby powstały polskie samochody elektryczne, energetyka jądrowa, polskie porty i oczywiście CPK (na które notabene brakuje aktualnie ok. 20 mld złotych), odpowiedzi mogłyby zaskoczyć. Również planowanie ścieżek dojścia do silnej gospodarczo Polski rozmaicie wygląda w programach poszczególnych sił politycznych. Po drugie, partia o nazwie *nomen omen* Rozwój Plus – obiektywnie oceniając z największym intelektualnie dorobkiem programowym na tym polu (trochę gorzej wygląda to w zakresie wiarygodności personalnej) – nie zyskuje w sondażach wraz z kolejnymi odsłonami wyników prac programowych. To wszystko skłania raczej do wniosku, że te wybory będą fundamentalnie „o czym innym", jak mawiają często nieporadnie językowo publicyści polityczni i politycy.

Oczywiście klimat przez ostatnie lata uległ zmianie. Wystarczy na przykład porównać albo przypomnieć sobie wspomniane wcześniej wybory z roku 2011, gdy wszystkim partiom najbardziej zależało na absorpcji środków unijnych i obniżeniu podatków. Czarnym koniem wyborów miał zostać Janusz Korwin-Mikke, a stał się nim Janusz Palikot, zresztą z agendą liberalno-liberalną. Obecnie jednak taka retoryka nie zniknęła zupełnie, nawet jeżeli pojawiły się obiektywne przeszkody w drodze do minimalizowania roli państwa, to dalej choćby projekt CPK uzależniony jest od środków unijnych w dużym stopniu. I znowu ten szantaż może zostać wykorzystany w kampanii wyborczej.

„Pieniędzy po prostu nie ma"

Póki co niewiele oczywiście wskazuje na to, aby nadchodząca kampania pozbawiona była stałego elementu, jakim są niekończące się i niepodliczane obietnice o charakterze finansowym. Pewnym *game changerem* pod tym względem mogłyby być coraz trudniej skrywane sztuczkami księgowymi problemy finansowe państwa. Właśnie druga z największych agencji ratingowych obniżyła perspektywy dla Polski. W raporcie agencji Moody's podkreślono ograniczoną „zdolność do odbudowy buforów fiskalnych" przy zwiększającym się deficycie. Co to oznacza w bardziej zrozumiałym języku? Ni mniej, ni więcej, to mianowicie, iż ten rząd przy nastawieniu obecnego prezydenta oraz w obliczu kampanii wyborczej (co rów-

nież zauważono w raporcie Moody's) nie jest w stanie podwyższyć wpływów podatkowych. Podobnie zresztą jak i drastyczne zmniejszenie wydatków państwa.

> Nie fetyszyzując kwestii samego poziomu zadłużenia, albowiem ważniejsza jest jednak chociażby jego struktura niż nominalna wysokość, to nie bez znaczenia są – rzecz jasna – koszty obsługi zadłużenia. A te po obniżeniu ratingu rosną. Z każdym obniżeniem wiarygodności w świecie finansów wiąże się zwiększenie tzw. premii za ryzyko.

Aby zachęcić inwestorów do zakupu nowych papierów dłużnych (obligacji skarbowych), państwo z niższym ratingiem musi zaoferować wyższe oprocentowanie swoich papierów dłużnych. Przekłada się to bezpośrednio na wyższe odsetki, które budżet państwa musi regularnie wypłacać.

Jeszcze boleśniejsze dla rządu byłoby przekroczenie progu zadłużenia, co oznaczałoby między innymi, iż w projekcie ustawy budżetowej na kolejny rok nie można by na przykład przewidzieć wzrostu wynagrodzeń w państwowej sferze budżetowej, a waloryzacja rent i emerytur może być dokonana tylko o wielkość inflacji. Ponadto zakazane byłoby chociażby udzielanie nowych pożyczek i kredytów z budżetu państwa, a Rada Ministrów musiałaby dokonać przeglądu wydatków budżetu państwa finansowanych środkami pochodzącymi z kredytów zagranicznych oraz przeglądu programów wieloletnich.

Jakkolwiek skutki prawne wpadnięcia w procedurę, którą sami sobie narzuciliśmy, można by przesunąć na okres po wyborach roku 2027, to już teraz widać, iż rządzący niespecjalnie szastają hojnymi finansowo obietnicami, a propozycja zmian w podatkach, choć pełna wad różnego rodzaju, nie przewidywała powiększania dziury w budżecie państwa.

Jeśli nie chleb, to igrzyska i efekt flagi

To wszystko nie oznacza jednak, iż KO powtórzy błąd z kampanii wyborczej roku 2015 i pozwoli przeciwnikom zaktualizować w jakiejś formie mem z hasłem ministra Rostowskiego „Pieniędzy po prostu nie ma". Wtedy rządowi pozostają takie opcje jak igrzyska, polaryzowanie i zrzucanie winy na innych, a także szukanie tzw. efektu flagi, jak w 2014 r., kiedy słabnące notowania ówczesnego rządu Tuska uratowała Rosja, rozpętując wojnę na Ukrainie. Oby teraz nie oznaczało to dalszej eskalacji.

W przywołanym roku 2011 Donald Tusk chełpił się do pewnego momentu, iż nie ma z kim przegrać. Teraz już bez takiej buty pozostaje zadowolony z notowań swojej partii i ograna oraz oskubania z elektoratu koalicjantów. Wszystko oczywiście może się zmienić, jeśli przełożenie sondaży na arytmetykę sejmową będzie wskazywało choćby na ryzyko taktycznego remisu. Jednakże w 2023 r. już raz pokazał, że umie grać zespołowo, kiedy mu się to opłaca. Choć na początku kampanii starym zwyczajem zmierzał do absolutnego zdominowania innych partii ówczesnej opozycji, to ostatecznie zostawił im na tyle miejsca i sympatii (w tym również sprzyjających mu mediów), aby weszli do sejmu z godną reprezentacją.

> Wówczas to hasło *Trzecia Droga albo trzecia kadencja* PiS-u okazało się zadziwiająco trafne. Społeczeństwo w wystarczającej liczbie wybrało to pierwsze rozwiązanie. Jaka będzie taktyka

> tym razem – nie wiadomo. Jednak jeśli ktoś uwierzył w propagandę prawicowych mediów o panice i powolnym odwrocie w łonie koalicji, może się za rok rozczarować.

Arytmetyka wyborcza ważniejsza niż rachunkowość zarządcza

Obecnie trzy listy mogą zastąpić dwie, a przygarnięcie pod skrzydła PO kilkunastu znanych nazwisk i kilku coraz mniej rozpoznawalnych szyldów nikogo nie odstraszy, a doda kilka kluczowych punktów procentowych. Dość powiedzieć, że ostatnio z list PO startowali byli PiS-owcy, np. Paweł Kowal. Pól manewru jest jednak więcej. Może nadal powstać wokół PSL-u nowa centroprawicowa koalicja.

Z ostatnich sondaży, np. United Surveys by IBRiS dla Wirtualnej Polski oraz Instytutu Badań Pollster dla Super Expressu, poparcie dla partii Donalda Tuska osiąga 31-32 proc., a dla Ogólnopolskiej Grupy Badawczej nawet 37 proc. Najczęstszym zaś komentarzem pojawiającym się do niego jest stwierdzenie, że przy takich wynikach KO znalazłaby się w sytuacji PiS-u z 2023 roku, czyli braku koalicjanta. Czyżby? Dość wierny, a niektórzy mówią nawet, że zwasalizowany koalicjant w lewicy osiąga stabilne 6-9 proc. od dłuższego czasu, a ponadto nie jest wcale wykluczony wspólny start Nowej Lewicy z Partią Razem, która samodzielnie również ma stabilne 3 do 5 proc. Jednakże pozostawanie raczej pod i nad progiem w badaniach może skłonić do wspólnego startu, przećwiczonego przecież z sukcesem wyborczym dwukrotnie. Nikt pewnie nie wierzy w trwałość antyrządowych filipik posłów Razem. Nie można też wyolbrzymiać skali sukcesu Aleksandry Owcy w Krakowie, oczywiście tylko w korespondencyjnym pojedynku z byłą Razemitką Darią Gosek-Popiołek, gdyż Razem jest reprezentowane w dużych miastach.

W gorszej sytuacji od lewicy jest PSL, który jednak ma także możliwości koalicyjne, ostatecznie nawet z... KO. Trauma po Koalicji Europejskiej w 2019 roku dawno minęła, a tych kilka dodatkowych punktów procentowych do łącznego wyniku KO może mieć kolosalne znaczenie. Dość przypomnieć sytuację z roku 2015, gdy 37 proc. wystarczyło PiS-owi nawet do samodzielnych rządów z uwagi na specyfikę systemu liczenia głosów.

Wtedy zadziałał też sposób liczenia głosów, które przypadły na partie znajdujące się z kilkuprocentowym poparciem pod progiem – Zjednoczonej Lewicy, Partii Razem i Partii KORWiN. Przy całej wyjątkowości tej sytuacji, gdyż łączne poparcie ww. trzech partii wynosiło ponad 16 proc. wszystkich ważnych głosów, znowu może dojść do „zmarnowania" w ten sposób głosów. Choćby Rozwoju Plus, balansującego już dzisiaj w okolicach progu wyborczego. W niektórych sondażach w okolicach progu oscyluje też Korona Grzegorza Brauna, która niekoniecznie musi dobrze znieść więcej niż pewne ataki mainstreamowych mediów na jej kandydatów, na pewno nawet zwielokrotnione wobec tych, które skutecznie zniwelowały dobre sondaże Konfederacji w 2023 roku. W sondażu dla OGB poparcie dla Korony to 5 proc., a Rozwój Plus znalazł się pod progiem z wynikiem 3 proc.

Tusk zatem musi jedynie – to przynajmniej wydaje się mądrością etapu w chwili obecnej – wzorem Lecha Wałęsy, a pewnie nieco wbrew sobie, wzmacniać „lewą nogę", a przychylne mu media skuteczniej kompromitować prawicę. Bo to, że ona sama będzie sobie nawzajem podkładać nogi, jest raczej pewne.

Prezydent nie musi pomóc prawicy

Obok rzekomej nieuchronności zmiany władzy po następnych wyborach pojawia się niekiedy argument o dużym znaczeniu prezydentury Nawrockiego na przyszły sukces prawicy. W istocie, pierwszy rok prezydentury dość wyraźnie pokazał ambicje głowy państwa do utrzymywania dobrych relacji z każdą z prawicowych sił politycznych, a weta i zgłaszane projekty ustaw niewątpliwą aktywność i ambicję wpływania na politykę partyjną. Pierwszy rok prezydentury naznaczony był też długo entuzjazmem po dość nieoczekiwanym sukcesie. Jednak gdybyśmy znajdowali się w momencie przecięcia cyklu kadencji prezydenta i parlamentu, jak w 2005 i 2015 roku, to wpływ byłby pewnie duży. Ostatnie wybory prezydenckie przypadały na połowę kadencji Tuska i raczej były plebiscytem popularności dwóch kandydatów, w tym jednego względnie nowego. Ale relatywnie aktywna, jak na uprawnienia prezydenta, kadencja Nawrockiego może skłonić część osób zmieniających sympatie co wybory do głosowania na... równowagę, czyli wbrew obozowi prawicowemu. Przy minimalnych różnicach pomiędzy partiami właśnie nastroje wśród wyborców niezdecydowanych, którzy w jakiejś części obawiają się oddania władzy w te same ręce, może zdecydować o minimalnej przewadze obecnej koalicji.

Nie jest też wcale pewne, czy starcia na poziomie propagandowym Tusk musi przegrać. Ceny paliw, kryptowaluty czy też wplątanie prezydenta w inną niezręczną sytuację związaną z przedłożoną do podpisu ustawą o reformie podatkowej to niekoniecznie pola sporu, na których obóz prezydenta musi czuć się dobrze. Szczególnie jeśli narracyjnie obóz rządowy tę batalię wygrywa, oskarżając prezydenta o działanie wbrew Polakom lub powiązanie z aferami części prawicy.

> Obecnie otoczenie prezydenta z jednej strony obwiania rząd za obniżenie ratingu, wynikające z braku konsolidacji fiskalnej, z drugiej zaś hamuje i zapowiada blokowanie wszelkich rozwiązań prowadzących do zwiększenia bazy podatkowej. To wygodne podejście, ale niekoniecznie sprawi, iż wojną propagandową i walką o rząd dusz wyborców uda się na tym wygrać.

„Prawica razem, ale nie tym razem"

Prezydent Nawrocki chciałby pełnić rolę ojca całego obozu prawicowego, ale niełatwo jest pełnić funkcję rozjemcy w coraz bardziej zaogniającym się sporze. „Dla niektórych z Rozboju+ najważniejsze są apanaże i funkcje... Zapomnieli o wartościach i zasadach. Zamiast Tuska rozliczać, układają się z nim" – pisał rzecznik PiS-u Rafał Bochenek. „Mateusz Morawiecki i Rozwój Plus chcą być bliżej Koalicji 13 grudnia" grzmiał z kolei Tobiasz Bocheński. Te i inne komentarze można oczywiście zrzucić na karb utrzymującej się na wysokim poziomie temperatury sporu pomiędzy niedawnymi kolegami z partii.

Do kampanii nienawiści wobec Morawieckiego został włączony nawet pojawiający się jak meteoryt w PiS-ie i w jego medialnych ekspozyturach Jacek Kurski, wprawiony zresztą wówczas w wewnętrzną wojenkę z byłym premierem, jeszcze w czasach TVP.

Działacze to zapewne nie najważniejsze zmartwienie obu konkurujących ze sobą obecnie formacji. Wybór Horały (zamiast Ociepy, który jest bytem relatywnie autonomicznym) uruchomił dawno niesłyszany frazes – kto nie z PiS-em, ten z Tuskiem. Nie tak dawno przecież Czarnek kazał Mentzenowi zapewniać,

że nigdy z Tuskiem nie będzie w aliansach. Choć na razie to o kontrasygnatę premiera musi zabiegać choćby Prezes NBP, aby skład zarządu banku centralnego nie został wykartkowany.

Negocjacje wokół ewentualnego paktu senackiego mogą być jednocześnie wspomnieniem lat rozbicia obozu prawicowego, jak i preludium potencjalnych podziałów stanowisk rządowych. Najprawdopodobniej jednak pokażą małostkowość ambicji liderów partyjnych i lokalnych liderów, a także skalę animozji pomiędzy tymi partiami. Oczywiście, liderzy partyjni będą zgrywać zatroskanych mężów stanu i deklarować gotowość do podjęcia rozmów, ale w międzyczasie zaplecza polityczno-medialne wszystkich czterech partii nie będą szczędziły sobie razów.

Jaka alternatywa dla Tuska?

Zorganizowane przez nasze środowisko po wyborach w 2023 roku spotkanie na temat tego, co dalej z prawicą, zakończyło się wspólną konkluzją, iż powrót prawicy do władzy tylko po to, aby nie rządził Tusk i aby było jak w latach 2015-2023, nie ma sensu. Na pewno jednak za rok znowu usłyszymy znane hasło o „najważniejszych wyborach od lat". Kolejna kampania na żyletki, choć może już bez szantażu emocjonalnego, że głos na partię inną niż PiS (albo Konfederacja, jeżeli dojdzie do mijanki tych partii w sondażach) oznacza *de facto* przedłużenie mandatu Donalda Tuska.

Nie jesteśmy na tyle naiwni, aby uważać, że to klucz do sukcesu wyborczego w przyszłym roku, ale dobrze byłoby, gdyby do początku właściwej kampanii wyborczej partie prawicy chociaż próbowały nas przekonać co do tego, że przepracowały wszystkie błędy z okresu rządzenia w latach 2015-2023 (zarówno odcinający się od nich dość niezręcznie PiS, jak i niemogący tego uczynić z przyczyn personalnych Rozwój Plus) i że są przynajmniej teoretycznie przygotowane do odpowiedzialnego rządzenia państwem, a nie tylko happeningu i protestu, szczególnie w przypadku Konfederacji i Korony. Nade wszystko zaś do niespotykanej od 20 lat sytuacji na prawicy bez wyraźnego hegemona albo podziału na seniora i wasala.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=bVBgpZAT24U

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/cztery-prawice-albo-czwarta-kadencja-tuska/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć